GLOBALNIE · #POLITYKA NARODOWA

NIE PŁACZMY PO HEGEMONII. AMERYKA TRUMPA A SPRAWA POLSKA

Maciej Kożuszek · 27 września 2026

„Ameryki, którą znamy, już nie ma" – to hasło powraca dziś w niemal wszystkich nurtach polskiej debaty publicznej, niezależnie od tego, czy jej uczestnicy wywodzą się z obozu proeuropejskich liberałów czy realistów, są ekspertami od spraw międzynarodowych czy geopolityki. Problem z tym konsensusem polskiej debaty jest taki, że „Ameryka, którą znamy", to Ameryka bardzo specyficzna, funkcjonująca w modelu hegemonicznym, który w amerykańskiej strategii był raczej wyjątkiem niż regułą. Ale Ameryka istniała i będzie istnieć także bez hegemonii, a Polska może czerpać korzyści z relacji z nią. Tym bardziej że w wielu aspektach ten moment hegemoniczny był źródłem problemów, które, nawet bez Trumpa, byłyby wyzwaniem dla polskiej suwerenności.

„Neokoni?" – zapytał Joe Rogan w kluczowym momencie swojej rozmowy z Donaldem Trumpem tuż przed wyborami w 2024 roku. To złożone z jednego słowa pytanie mówi nam więcej o epoce, w której żyjemy, niż niejeden ekspercki traktat strategiczny. Sam fakt, że do tej rozmowy w ogóle doszło, a Rogan w końcu poparł Trumpa w starciu z Kamalą Harris, też mówi o naszych czasach sporo. Autor najpopularniejszego podcastu świata nigdy nie był *woke*, jak mówią Amerykanie, ale politycznie jest zdecydowanie dzieckiem kulturowej, liberalnej lewicy XX wieku. Snuł długie rozważania o „kompleksie militarno-przemysłowym", podzielał wizję Olivera Stone'a – trzykrotnego gościa swojego podcastu – że za zamachem na Kennedy'ego stał amerykański „deep state", który tak pragnął kolejnych wojen, że zabił „prezydenta pokoju" (w tej, kuriozalnej, wersji amerykańskiej historii został nim JFK). Politykiem, z którym Rogan wiązał największe nadzieje, była Tulsi Gabbard, antywojenna polityk Partii Demokratycznej, która ostatecznie zostanie Dyrektorem Wywiadu Narodowego w drugiej administracji Trumpa.

Co ciekawe, słuchając podcastu, można było odnieść wrażenie, że sam Trump nie podziela obsesji Rogana na punkcie „neokonów". Pytanie padło, gdy Trump mówił o tym, że jego największym błędem podczas pierwszej prezydentury było zaufanie ludziom, którym ufać nie powinien. Rogan spytał, czy ma na myśli neokonserwatystów. „Tak, neokoni albo źli ludzie, albo nielojalni ludzie" – odpowiedział wówczas Trump. Bo aktualny prezydent USA nigdy nie był ideologiem, nie był ani izolacjonistą, ani interwencjonistą. Zawsze był trumpistą, a lojalność wobec niego znaczyła dużo więcej niż którykolwiek z „izmów". Dlatego Kissingerem Trumpa, łączącym funkcje szefa dyplomacji i doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego, może być dzisiaj Marco Rubio, a nie jest nim na przykład Steve Bannon ↗ mimo że ten pierwszy jest jak najbardziej dzieckiem „starej GOP", dla której neokonserwatyzm był długo wyznaniem wiary, a ten drugi uważa „neokonów" za część „globalistycznej" kabały , z którą nacjonaliści-populiści to-

czą walkę na śmierć i życie.

Polskie bezpieczeństwo i hegemonia

Gdyby za każdym razem, kiedy w polskiej debacie o relacjach transatlantyckich padają sformułowania, takie jak „koniec hegemonii", „koniec prymatu", „Ameryka nie chce być już policjantem świata" albo „Amerykanie wychodzą z Europy", polska armia dostawała jednego drona… cóż… mielibyśmy bardzo dużo dronów. Mój problem z tą totalną dominantą polskiej dyskusji jest taki, że jest ona spóźniona. O półtorej dekady. Koniec amerykańskiej hegemonii w modelu, który zaproponowali neokonserwatyści, nastąpił — jeśli chcemy szukać daty — 20 stycznia 2009 roku, w momencie inauguracji Baracka Obamy. Polskie siły dronowe byłyby też dodatkowo wzmocnione, gdyby jeden bezzałogowiec trafiał do nich za każdym razem, gdy Obama mówił: „Ameryka nie może być policjantem świata". Albo „to, że mamy najlepszy młotek, nie znaczy, że każdy problem jest gwoździem". Podczas kampanii w 2020 roku Joe Biden, którego niemieckie media nazywały „ostatnim wielkim orędownikiem transatlantyckich więzi", został zapytany o jego wypowiedź, że nie wyśle „swojego chłopaka" do Afganistanu, by ten bronił jakichś „praw kobiet". „To, co miałem na myśli, to to, że jest tysiąc miejsc, gdzie moglibyśmy się znaleźć, walcząc z niesprawiedliwością" – przekonywał Biden. „Ale idea, że my możemy używać naszych sił zbrojnych, by rozwiązać każdy wewnętrzny problem, jaki istnieje na świecie? Nie mamy takich możliwości" – mówił. Warto przy tej okazji pamiętać o tym, że zanim jeszcze pierwsze czołgi rosyjskie wyruszyły na Kijów, Biden zadbał o wycofanie wszystkich amerykańskich żołnierzy z Ukrainy, a swojemu doradcy ds. bezpieczeństwa dał jasno do zrozumienia, że jakiekolwiek, amerykańskie *boots on the ground* są absolutnie wykluczone.

Choć na poziomie kulturowym i politycznym Obama i Biden stoją po przeciwnej stronie barykady niż Trump, to w sprawie dziedzictwa neokonserwatywnej hegemonii i „nigdy niekończących się wojen", byli w pełni zgodni. Problemem polskiej debaty jest to, że zakładamy, iż amerykańskie zobowiązania, kluczowe także dla naszego bezpieczeństwa, są możliwe wyłącznie w tym modelu hegemonii. Wynika to z kilku czynników. Zimną wojnę spędziliśmy za żelazną kurtyną, Zachód postrzegając jako monolit, gdzie nikt nikomu nie grozi zabraniem amerykańskich wojsk, jeśli Europa nie skończy swojej „jazdy na gapę" w ramach NATO. Prezydentura Reagana, której zaplecze intelektualne stanowili neokonserwatyści pierwszej fali, słusznie postrzegana jest w Polsce jako epoka otwierania się naszego okienka wolności. Z kolei otwieranie drzwi do NATO dla Rzeczypospolitej rozpoczęło się w 1992 roku — w tym samym roku, w którym Fukuyama wydał książkową wersję końca historii, a Paul Wolfowitz napisał dokument określający zręby najbardziej ambitnego modelu amerykańskiej hegemonii w historii. Polska niepodległość i polskie bezpieczeństwo w kontekście transatlantyckim są więc dzieckiem postzimnowojennej epoki hegemonicznej Ameryki. Dlatego „koniec hegemonii" wywołuje takie fale histerii w polskiej debacie. Dlatego, mówiąc językiem youtuberów — którymi wszyscy, jako uczestnicy tej debaty, trochę jesteśmy — miniaturki z tym hasłem dobrze się klikają. Dlatego też Donald Tusk, ale nie on jedyny, może pisać, że gdyby Reagan widział działania dzisiejszych republikanów, „przewracałby się w grobie".

Ale to pragnienie powrotu prezydenta i polityki amerykańskiej z zupełnie innej epoki, która podobnie jak on leży w grobie, nie jest jedynym problemem polskiej debaty. Jacek Bartosiak ma po części rację, trochę pogardliwie nazywając elity III RP „dziećmi morza", które „wzywają swoją matkę", ale sam, budując apokaliptyczne wizje walącej się architektury bezpieczeństwa RP, sprzedaje swoim odbiorcom coś, co można nazwać „złudzeniem hegemonicznym" *à rebours*. Złudzenie to opiera się na założeniu, że tylko Ameryka

w modelu hegemonicznym może być gwarantem polskiego bezpieczeństwa. Tylko Ameryka w modelu unilateralnego prymatu może być wiarygodnym partnerem. Jeśli przestaje samą siebie postrzegać w tej roli, to właściwie koniec, gasimy światło, „Ameryki, którą znamy już nie ma" albo jak pisał kiedyś Piotr Zychowicz, „Ameryka to mrzonka". Z tą diagnozą realistyczno-geopolityczną, w dość nieoczywistym sojuszu, zgadzają się polscy liberałowie z Radosławem Sikorskim i Donaldem Tuskiem na czele. Zresztą publicysta „Gazety Wyborczej" Wojciech Orliński, papugując amerykańską podróż Jeana Baudrillarda, który trochę papugował, z lewacką korektą, amerykańską podróż Tocqueville'a, wyprzedził Zychowicza o wiele lat, wydając w 2010 roku książkę *Ameryka nie istnieje*.

Teza, którą chciałbym wprowadzić do polskiej debaty, brzmiałaby tak: Ameryka jednak istnieje, nawet jeśli nie postrzega już siebie jako hegemona. Choć rzeczywiście taka Ameryka to jedyna, jaką w Polsce znamy, to jednak ten model w amerykańskiej strategii był raczej wyjątkiem, wynikającym z niepowtarzalnych okoliczności, niż regułą. Powiedziałbym nawet, że Berlin, Paryż czy Londyn lepiej odnajdują się w epoce Trumpa 2.0 także dlatego, że Ameryka, która szuka zbalansowania swoich zobowiązań, która zaczyna więcej wymagać od swoich sojuszników, to Ameryka, którą doskonale znają. I dysponują pamięcią instytucjonalną, która pozwala im zarządzać relacjami z właśnie taką Ameryką. Polski problem nie polega na idealistycznym łkaniu za prymatem, ale też na, ubierającym się w szaty chłodnego realizmu, panikarstwie, które zakłada, że tylko z Ameryką w prymacie jest sens rozmawiać.

Neokonserwatyzm i hegemonia

Ktoś, kto zna trochę historię amerykańskiej strategii, jest w stanie dostrzec, jak niepowtarzalny moment historyczny towarzyszył narodzinom ideologii hegemonii. Tylko niesłychana koniunkcja amerykańskich triumfów w jednym roku sprawiła, że ze spektrum opcji, które towarzyszyło amerykańskiej strategii od końca II wojny światowej, wybrano jedną z absolutnych skrajności. W końcówce roku 1991 Związek Sowiecki, ten cień grozy, niczym Dr Strangelove wiszący od dekad nad amerykańską psyche, po prostu się rozpadł. A Rosjanie z mrocznych Iwanów, straszących Amerykanów w filmach z czasów zimnej wojny, zamienili się w odbiorców amerykańskiej pomocy humanitarnej. Na początku tego samego roku operacja „Pustynna Burza" zakończyła się niekwestionowanym triumfem amerykańskiego oręża, a milionowa armia Saddama rozpadła się jak domek z kart.

Dokument Paula Wolfowitza z 1992 roku *Defense Planning Guidance for the Fiscal Years 1994–1999*, który krótko po napisaniu wyciekł do mediów, nie miał tak przełomowego tytułu jak *Koniec historii,* ale na następnych dwóch dekadach amerykańskiej polityki wycisnął być może większe piętno niż dzieło Francisa Fukuyamy. W sumie trudno się dziwić Wolfowitzowi, że pod wpływem dwóch świeżych triumfów uznał, że: po pierwsze, Amerykę stać na to, by zniechęcić każdego, kto chciałby wypełnić puste miejsce po Sowietach, do rzucenia jej realnego wyzwania; po drugie, przewaga amerykańskiego oręża jest na tyle imponująca, że stać ją na wojny prewencyjne albo policyjne, nawet w regionach świata niemających istotnego strategicznie znaczenia. Bo takie pokazy siły jak pierwsza wojna w Zatoce Perskiej miały odgrywać rolę okna wystawowego i dodatkowo zniechęcać każdego, kto mógłby chcieć próbować zamienić moment unilateralny na dwu- albo wielobiegunowy. Taka była atmosfera epoki, Ameryka była zachwycona sama sobą, a Amerykanie byli *high on their own supply*, jak to się u nich mawia, czyli w wolnym tłumaczeniu: „naćpali się własnym towarem".

Gdy próbuję komuś w prosty sposób wytłumaczyć, na czym polegał ten model hegemonii, mówię zwykle,

że była to Ameryka, która mówi jak polski raper Ryszard Peja na głośnym nagraniu z jednego ze swoich koncertów: „Wszystko na mój koszt". Ale właściwie już na początku w tej euforii pojawiły się pierwsze pęknięcia. Neokonserwatyzm, kierunek, którego przedstawiciele dominowali w administracjach obydwu Bushów, obsadzając większość stanowisk związanych z polityką zagraniczną i bezpieczeństwa, miał tak naprawdę dwie fale. O ile przedstawiciele pierwszej, pokolenie zimnowojennych jastrzębi: Irving Kristol, Jeane Kirkpatrick czy Patrick Moynihan, odrzucało „ideę demokratycznej krucjaty po sowieckiej dezintegracji", o tyle „młodsza generacja neokonserwatystów uznała, że nawet po zakończeniu zimnej wojny Waszyngton powinien uczynić zbrojną, prewencyjną krucjatę dla globalnej demokracji, głównym założeniem swojej polityki zagranicznej" – piszą w swojej książce o neokonserwatystach Stefan Halper i Jonathan Clarke. Kirkpatrick na początku lat 90. mówiła podobnie jak Biden w 2020 roku: „USA nie mają tak wielkiej potęgi, by demokratyzować świat". Stwierdziła też, że „większość zobowiązań międzynarodowych, które wzięliśmy na siebie, które kiedyś były istotne, dziś jest przestarzała". Zarówno ona, jak i Kristol, przypominali swoim młodszym kolegom, że pomimo faktu, iż Ronald Reagan zostanie zapamiętany jako grabarz Związku Sowieckiego, to jego faktyczna polityka była arcypragmatyczna. Wystrzegał się bezpośredniego użycia siły militarnej, stawiając raczej na wykrwawianie przeciwnika rękami mudżahedinów w Afganistanie i wspierając odśrodkowe ruchy wewnątrz Układu Warszawskiego, takie jak Solidarność w Polsce. Łączył presję ekonomiczną i geopolityczną wywieraną na Sowietów z zawieraniem układów o kontroli zbrojeń wtedy, gdy leżało to w interesie USA.

Wszystkie koszty hegemonii

> Jedną z ironii historii początku XXI wieku jest fakt, że choć najgłębsze pęknięcie kulturowe pomiędzy Ameryką a kontynentalną zachodnią Europą przypadło na rok 2003 i początek drugiej wojny w Iraku, to jednocześnie właśnie amerykańska hegemonia umożliwiła powstanie projektu europejskiego w jego obecnej formie. „Jazda na gapę" w ramach NATO przybrała rozmiary niewidziane w czasie zimnej wojny. Na ten sam moment dziejowy przypada nie tylko debata o kolejnych europejskich traktatach, ale i powstanie pełnych entuzjazmu apologii modelu europejskiego.

Dlaczego Europa będzie rządzić w XXI w. – to tylko jeden z tytułów pisanych wówczas książek, które zestarzały się jak plasterki sera tkwiące w zapomnieniu na dnie lodówki. Ironia polega tu też na tym, że właśnie dlatego, iż Ameryka mówiła „wszystko na mój koszt", Europa mogła sobie pozwalać na opowiadanie bajek o tym, jakim jest imperium wartości, pluralizmu, systemu regulacji i państwa opiekuńczego, które to razem otulają obywatela oświeconą kołderką i sprawiają, że nigdy nie spotka go los czyhający za rogiem na każdego Amerykanina, jeśli tylko w życiu powinie mu się noga. Europa, przemilczając amerykański parasol, gratulowała sobie swojego własnego „końca historii", wierząc, że jej ojcowie założyciele, Schumann i Monnet, nie tylko rozwiązali problem wojen z przeszłości – konflikt francusko-niemiecki, ale w ogóle wykluczyli wszelkie wojny w przyszłości. Dziś wiemy, ile warte były te marzenia o Stanach Zjednoczonych Europy. Historia wróciła nie tylko wraz z wojną u progów UE. Kryzysy strefy euro czy kryzys migracyjny pokazały, że imperium regulacji średnio radzi sobie nawet z tymi wyzwaniami, które nie wymagają posiadania potężnej armii.

Dzisiaj wiemy też, że nie wszystkie wojny policyjne USA miały taki przebieg jak ta z 1991 roku, a nawet po równie efektownym pokonaniu talibów i ponownym pokonaniu wojsk Saddama Irak i Afganistan zamieniły się w wycieńczające maratony, kosztujące Amerykę za dużo, nie tylko pieniędzy, ale i krwi, a może przede wszystkim wiary w samą siebie. W badaniach Gallupa poziom optymizmu bił rekordy tuż po zamachach z 11 września, gdy 70 proc. respondentów było usatysfakcjonowanych tym, „jak sprawy się mają w USA". Kolejny raz rekord został pobity pod koniec rządów Busha juniora, w 2008 roku. Tyle że był to rekord negatywny. Jedyny raz w historii liczba usatysfakcjonowanych Amerykanów była jednocyfrowa i wyniosła 7 proc.

Było to oczywiście związane z kryzysem finansowym z 2008 roku, nazwanym przez Amerykanów wielką recesją. Kryzys ten był z kolei konsekwencją rozszerzenia projektu hegemonicznego, jaki przyniosła prezydentura Clintona. Przyspieszając procesy globalizacyjne, włączając Chiny do WTO, do ideologii unilateralnej, militarnej dominacji USA dodano ideologię otwartych rynków i „płaskiego świata" bez granic. Bill Clinton i George W. Bush mogli nie zgadzać się w wielu sprawach, ale należeli do tej samej epoki, w sensie strategicznym w ich polityce widać wyraźną kontynuację. Pomimo zajadłości wojny politycznej między populizmem a „obrońcami demokracji" o podobnej ciągłości możemy mówić w odniesieniu do Obamy, Bidena i Trumpa.

Jeśli odłożymy na chwilę na bok akty apokaliptycznej apopleksji, w której celują zarówno nasi liberałowie, jak i rodzimi realiści i geopolitycy, to dostrzeżemy być może, że bilans epoki hegemonicznej nie jest dla Polski jednoznacznie pozytywny. Owszem, przyniosła nam ona akces do NATO, a także dzięki integracji europejskiej, szczególnie w jej początkowej fazie bezprecedensowy w historii wzrost zamożności polskiego społeczeństwa. Równocześnie jednak doprowadziła do niepohamowanego rozrostu instytucji transnarodowych, z Unią Europejską na czele, która po 2015 roku pokazała, jak daleko jest w stanie ingerować w nasze sprawy wewnętrzne. Przyniosła też reunifikację Niemiec, która wraz z „coraz głębszą integracją" sprawiła, że podstawowa obietnica zarówno traktatu waszyngtońskiego, jak i projektu europejskiego – „rozwiązanie kwestii niemieckiej" – straciła sporą część swojej wiarygodności. Wreszcie epoka hegemonii przyniosła odrodzenie rosyjskiego imperializmu i wyłonienie się zupełnie nowego rywala geopolitycznego w postaci Chin. Epoka hegemonicznej globalizacji wiązała się także ze wszystkimi zjawiskami niszczącymi wspólnoty Zachodu od środka: izolacją transnarodowych elit, przekonanych, że cenzura i delegalizacja przeciwników politycznych są uzasadnione dla „obrony demokracji", czy alienacją rodzimej klasy pracującej, która w globalnych łańcuchach dostaw była potrzebna co najwyżej w roli konsumentów tanich wyrobów produkowanych w Azji. Niezależnie od poglądów teza, że przed Trumpem wszystko działało doskonale, a dopiero jego pojawienie się doprowadziło do załamania ładu międzynarodowego, po prostu nie broni się w świetle podstawowych faktów.

Co zamiast hegemonii?

Dlatego uważam, że nie ma co płakać po hegemonii. Zresztą nasza ocena postzimnowojennej strategii USA i Unii Europejskiej oraz to, czy wolelibyśmy powrotu Reagana z grobu, czy raczej reanimacji politycznego trupa, jakim pod koniec swojej prezydentury był Biden, nie mają najmniejszego znaczenia. Żyjemy w epoce Trumpa, a „fakty, nie interesują się naszymi uczuciami" – jak mówią amerykańscy konserwatyści.

Podstawowa różnica między Bidenem a Trumpem polega na tym, że ten pierwszy, podobnie jak przed

nim Obama, próbował połączyć odejście od modelu hegemonii w strategii globalnej z przedłużeniem amerykańskiego patronatu nad transnarodowym projektem liberalnym, a Trump poszedł na otwartą wojnę z tym projektem. Zresztą konflikt ten został zainicjowany przez stronę liberalną, która – nawet gdy Trump w 2017 roku w Warszawie mówił o konieczności odbudowy siły Zachodu, o poświęceniach, których wymaga obrona jego wartości – uznawała, że Zachód się kończy razem z demokracją, NATO, rządami prawa i „porządkiem międzynarodowym" opartym na zasadach. Nieprzypadkowo, jednym z pierwszych kroków administracji Trumpa 2.0 było odcięcie finansowania USAID, organizacji, która przez lata zamieniła się w skarbonkę dla liberalnego, transnarodowego projektu, finansując niezliczone NGO-sy, zajmujące się między innymi korygowaniem „wyroków demokracji" w takich państwach jak Polska.

Pierwszym krokiem do oceny faktycznej pozycji strategicznej Polski w epoce Trumpa jest przyjęcie założenia, że niezliczone artykuły w których w naszym kraju celują media z niemieckim kapitałem o tym, że „Trump wbija Europie nóż w plecy", są wyrazem troski liberałów o swoją władzę i perspektywy zawodowe, a nie troski o wschodnią flankę NATO. Interes polski nie jest tożsamy z interesami projektu liberalnego, tak jak interes Warszawy nie jest tożsamy z interesem Berlina. Agresywny język National Security Strategy skierowany w stronę Europy może budzić obawy, tylko jeśli założymy tożsamość tych interesów i nie zauważymy zaproszenia do bliższej współpracy, skierowanego do państw naszego regionu.

Strategia Trumpa w odniesieniu do Europy stanowi powrót do amerykańskiej tradycji, o której na chwilę zapomniano podczas euforii hegemonicznej. Zasada tej strategii od Trumana przez Kennedy'ego po Nixona była następująca: Europa jest dla Ameryki niezbędna, ale chcąc utrzymać równowagę na kontynencie, USA muszą wykorzystywać swój lewar w postaci gwarancji bezpieczeństwa, by zapobiegać wzrostowi potęgi niemieckiej. Zaraz po wojnie, także dzięki lobbingowi Jeana Monneta w USA, uznano, że drugim narzędziem do osiągnięcia tego celu będzie projekt europejski. Ale z tym założeniem zerwała już administracja Nixona, która, podobnie jak Trump pół wieku po niej, wolała bilateralne relacje z poszczególnymi stolicami niż Wspólnoty Europejskie – te były już wówczas postrzegane jako narzędzie do konsolidacji niemieckich wpływów. W tym sensie administracja, która widzi w Berlinie problem, a nie rozwiązanie, jak to było w przypadku Obamy i w pewnym stopniu Bidena, jest dla Polski korzystna.

Dla Polaków, pozbawionych strategicznej suwerenności w okresie zimnej wojny, Zachód był monolitem, miejscem, do którego uciekało się w desperacji. Dojrzałość strategiczna, jakiej wymaga dzisiejsza epoka, nakazuje zrozumienie, że można być częścią Zachodu, jednocześnie rozgrywając sprzeczne interesy jego członków. Zimna wojna powinna nas nauczyć, że istnieje życie bez amerykańskiej hegemonii. Ostatecznie los poszczególnych państw zależał nie od tego, czy Ameryka nikogo się nie bała, czy miała rywala, ale od tego, po której stronie żelaznej kurtyny, 38. równoleżnika czy muru berlińskiego się te państwa znalazły. „Ameryka przechodzi na *offshore balancing*" – mówią pewni siebie, ale nieznający historii polscy mędrcy od geopolityki. Tak jakby w latach 40. nie było koncepcji senatora Roberta A. Tafta zakładającej oparcie amerykańskiej pozycji na systemie „ufortyfikowanych wysp" zamiast na obecności wojsk lądowych na kontynencie. Jakby sekretarz stanu Trumana, Dean Acheson, nie chciał oprzeć „linii defensywnej" w Azji właśnie na łańcuchu wysp, tuż przed wojną w Korei, która ostatecznie zakończyła się amerykańską interwencją. Tak jakby Trump był pierwszym, który chce skończyć europejską „jazdę na gapę".

> Ameryka w modelu „wszystko na mój koszt" naprawdę była historycznym wyjątkiem, który zresz-

> tą skończył się na długo przedtem, zanim zaczęła się zbiorowa histeria w Polsce. Mniej nerwów, mniej równie efektownych, co czysto wyobrażonych wielowektorowych zwrotów strategicznych, więcej ciężkiej i żmudnej pracy dla budowania polskiego państwa i potencjału.

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/nie-placzmy-po-hegemonii-ameryka-trumpa-a-sprawa-polska/

DOBRA ANALIZA WYMAGA CZASU

Rzetelny tekst to dni pracy: źródła, dane, redakcja. Każda wpłata pozwala nam przygotować kolejny. Nawet niewielka kwota ma znaczenie.

WSPIERAM ANALIZY

wspieram.nlad.pl



Zeskanuj, aby wesprzeć